

Wszystko na sprzedaż

20 kwietnia 2019

Te fabryki nie mają kominów. Maszyn. Wielkich hal fabrycznych. „Fabrykom trolli” wystarczy internet.



To nie będzie miły tekst. Sympatyczny. Relaksujący. Poprawiający nastrój podczas rozpoczynających się świąt. Dlatego najlepsze życzenia świąteczne składam wszystkim moim Czytelniczkom i Czytelnikom już teraz. Na początku. Bo dalej będzie już tylko gorzej.

Fabryka trolli

Dwadzieścia lat temu, angielskie słowo „trolling” nie oznaczało nic złego. Wręcz przeciwnie. „I like to troll a happy song when I am down” – mogłem powiedzieć. Gdy jestem smutny, lubię zaśpiewać sobie wesołą piosenkę – to po polsku. Dziesięć lat temu, już prawie polskie słowo „troll” kojarzyło się z natrętną muchą. Robiącą wokół siebie dużo hałasu. I wtrącającą się do każdej internetowej dyskusji. Choć poza brzęczeniem, internetowy troll nie miał nic sensownego do powiedzenia.

Dzisiejszy troll potrafi być kimś. Może mieć nawet wpływ na

wybór prezydenta tak potężnego kraju jak Stany Zjednoczone. Wielu z Państwa zapewne oglądało w telewizji lub w internecie „Fabrykę trolli”. Duńsko-szwedzki dokument – opisujący kulisy pracy petersburskiej firmy internetowej. „Film poświęcony jednemu z najpoważniejszych problemów współczesnego świata. Chodzi o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, które wywołują niepokoje społeczne oraz wprowadzają dezinformację wśród obywateli” – w taki sposób rekomendują „Fabrykę trolli” stacje telewizyjne. I nie ma w tych słowach cienia przesady. Bo troll z brzęczącej muchy przeistoczył się w chmarę szarańczy. Atakującej i niszczącej. Przede wszystkim debatę publiczną.

Wielkanocny troll

Nie, troll nie pojawił się wraz z internetem. Ma co najmniej dwa tysiące lat. Część z Państwa, w Wielkanoc odwiedzi kościoły. I takie usłyszysz wytłumaczenie pustego grobu Chrystusa: „Niektórzy ze straży przyszli do miasta i powiadomili arcykapłanów o wszystkim, co zaszło. Ci zebrali się ze starszymi, a po naradzie dali żołnierzom sporo pieniędzy i rzekli: »Rozpowiadajcie tak: Jego uczniowie przyszli w nocy i wykradli Go, gdyśmy spali«” (Mt. 28, 11-13).

Zaś Ci z Państwa, którzy w wolne dni zagłębiają się w lekturę „Quo vadis” Sienkiewicza, też przeczytają o starożytnych trollach. Kiedy to Tygellin i Chilon Chilonides przekonali cesarza Nerona, by winą za spalenie Rzymu obarczyć chrześcijan.

Zamieszkujący terytoria Wielkiej Brytanii Celtowie nie mówili po angielsku. Nie mogli więc powiedzieć o rozsiewanych w Cesarstwie Rzymskim nieprawdziwych plotkach tak jak my dzisiaj. Fake news. Ale przez tysiąclecia istota „fake newsów” nie zmieniła się. Diametralnie zmieniła się jedynie skala ich oddziaływania.

Kłamstwo powtarzane

Ileż trudu i czasu wymagało, by plotkę przekazać z ust do ust. Jednym z pierwszych, który wykorzystał możliwości mediów masowych do rozpowszechniania „fake newsów” był z pewnością Joseph Goebbels. Kilka fałszywych informacji powiedzianych do mikrofonu radiowego, trafiało w jednej chwili do milionów słuchaczy. A „kłamstwo powtórzone tysiąc razy stawało się prawdą”. To goebbelsowskie powiedzenie jest dzisiaj główną siłą napędową wszystkich „fabryk trolli” na świecie.

Gdy szokujący film o rosyjskiej „fabryce trolli” – wpływającej na wyborcze zachowania Amerykanów – stał się bestsellerem, władze USA nie mogły nie zareagować. W lutym dziennik „Washington Post” doniósł, że wojsko odcięło od internetu Agencję Studiów Internetowych, nazywaną „fabryką trolli”. Firmę finansowaną przez Jewgienija Prigożyna, oligarchę bliskiego Władimirowi Putinowi. Nie wnikając w szczegóły, jak to zrobiono – i tak to nic nie da. Tak jak wprowadzenie prohibicji nie spowodowało, że Amerykanie przestali pić.

Fabryki – a może wkrótce koncerny trolli – będą się rozwijały. Bo rozpowszechnianie fałszywych informacji, półprawd, nie do końca prawd – to doskonały biznes. W świecie, w którym wszystko jest na sprzedaż.

Reklama dźwięnią

Wystarczy włączyć telewizor. Katar? Do gorącej wody wsyp proszek. Wypij. I możesz iść w góry. Ból? Żel ukoj go w pięć minut. Brak gotówki? Tylko parę kliknięć na komputerze. Stare auto pod domem? Nic prostszego. Właśnie jest promocja na nowe.

Nie przypadkiem pisząc o trollach, cytuję wszechobecne reklamy. Bo podobieństw jest sporo. Po pierwsze – pieniądze. Czas trolli internetowych – pożytecznych idiotów – działających za bóg zapłać, powoli mija. Pod każdym towarem

sprzedawanym w internecie roi się od komentarzy. Że jest super i najlepszy. Lub odwrotnie: że do niczego się nie nadaje i zaraz popsuje. Możemy być pewni, że 90 procent komentarzy napisano słuźbowo. Producent zapłacił tym, którzy mają pisać dobrze. Konkurencja – pozostałym.

Drugie podobieństwo świata reklam i trolli, to siła sugestii. Kiedyś zakazano reklam oddziałujących na podświadomość. Emisji reklam, w których na ułamek sekundy pojawiały się obrazki, odnotowywane tylko przez podświadomość. Ale większość współczesnych reklam nadal w jakimś stopniu oddziałuje na naszą podświadomość. Gdy widzimy zwałonego z nóg grypą pacjenta. Łykającego tabletkę. I za chwilę – z uśmiechem na twarzy – przypinającego narty. Nie potrzeba słów. By zasugerować widzowi ozdrowieńczy skutek działania specyfiku.

Dokładnie tak samo działa fabryka trolli. Rosyjski troll nigdy nie pisał wprost: głosuj na Trumpa. Najczęściej wystarczał mem wpuszczony do sieci. Z Hilary Clinton, przyjaźnie pozdrawiającą tłumy po drugiej stronie granicy z Meksykiem. Z podpisem: gdy wygram – otworzę granicę. Wyobraźnia wyborcy dopowiadała resztę.

Made in Poland

Polska też ma swoje „fabryki trolli”. Kulisy pracy jednej z nich ujawnili parę tygodni temu dziennikarze „Superwizjera” TVN w reportażu „Farma trolli”. Firma HGA Media, którą pokazano w programie, jest właścicielem kilku portali internetowych, między innymi popularnego Pikio.pl. Odbiorcami treści serwowanych we wszystkich portalach kontrolowanych przez tę firmę jest ponad siedemdziesiąt siedem milionów osób miesięcznie. Do tego dochodzą liczne fanpage na Facebooku powiązane z dziennikarzami „fabryki trolli”.

Dziennikarzami? „Człowiek siedzi i wymyśla jakieś bzdury” – tak opisał swoją pracę zastępca redaktora naczelnego portalu Newsweb.pl. „Dziennikarze to nad jednym tekstem trzy dni

siedzą, a my piszemy po dziesięć dziennie” – przyznał wiceszef portalu.

Celem licznych tekstów fabrykowanych przez opisaną „farmę trolli” jest dyskredytowanie opozycji antypisowskiej. Krytyka działań Unii Europejskiej. Stymulowanie lęków przed uchodźcami. Przykład? Kaczyński ostrzegał kiedyś przed chorobami rzekomo przynoszonymi do Europy przez imigrantów. Temat podchwyciła „farma trolli”. Pisząc o „gigantycznych kleszczach”, które rzekomo zalały Niemcy wraz z falą uchodźców. Odnosząc się do tego tematu, niemiecki „Die Welt” zauważył, że TVP – polska telewizja publiczna – bardzo chętnie korzysta z materiałów wyprodukowanych w „fabrykach trolli”.

Naukowcy z Oxfordu jakiś czas temu przeanalizowali działalność polskiego Twittera. Oszacowali, że aż 1/3 wiadomości pochodzi z fałszywych kont. Jeden z autorów analizy, Robert Gowra wspomniał też o innej polskiej „fabryce trolli”. Obsługującej partie polityczne i mającej za zadanie dyskredytowanie politycznej konkurencji. Firma korzysta z 40 tysięcy fikcyjnych kont na Facebooku i Twitterze.

Takich firm jest z pewnością więcej. A rozpoczęty parę miesięcy temu maraton wyborczy jest dla „fabryk trolli” tym, czym okres przedświąteczny dla marketów. Jak to ogarnąć?

Trolle za kraty

Jeden z wrocławskich polityków lewicy sugerował, by wprowadzić do kodeksu karnego pojęcie „kłamstwa informacyjnego”. Słowem, by publikowanie „fake newsów” było przestępstwem ściganym przez prokuratorów. Jestem przeciwnikiem takiego rozwiązania. Mamy już w kodeksie karnym artykuł 212, dotyczący zniesławienia. I już ten zapis jest kontrowersyjny. Wielu prawników jest zdania, że procesy o zniesławienie, pomówienie, poniżenie muszą pozostać domeną postępowań cywilnych. Tak też powinni reagować ci, których dotyczą ewidentne kłamstwa produkowane przez „fabryki trolli”.

Jednak większość materiałów rozpowszechnianych przez „fabryki trolli” nie podpada pod paragrafy karne wprost. Na przykład memy. Wprowadzenie sankcji karnych za „kłamstwo informacyjne” mogłoby w konsekwencji doprowadzić do ograniczenia wolności słowa. Czy mem, na którym Jarosławowi Kaczyńskiemu dorysowano „dymek” i dopisano satyryczny tekst – to już „kłamstwo informacyjne”? Przecież słowa w „dymku” nigdy z ust Kaczyńskiego nie padły. Paragraf o „kłamstwie informacyjnym” mógłby się stać potężnym orężem prokuratury Ziobry. A co z rozlicznymi opowieściami Antoniego Macierewicza o rzekomym zamachu smoleńskim? Czy jak już PiS nie będzie rządził, dzisiejsza opozycja powinna Macierewicza za to ewidentne „kłamstwo informacyjne” wsadzić do więzienia? Myślę, że nie. Wystarczy machnąć ręką na takich jak on. Myśląc i oceniając samemu.

Wszystko na sprzedaż

Przez lata przyzwyczailiśmy się, że słowo pisane i treści przekazywane w radiu i telewizji są odzwierciedleniem rzeczywistości. Przynajmniej w jakimś stopniu. Że dziennikarzy obowiązuje jakaś etyka. Że piszący na Facebooku są tymi, za kogo się podają. W czasach, kiedy za kłamstwo płaci się tak samo jak za prawdę (a niekiedy znacznie lepiej), te zasady przestają obowiązywać. Nie oznacza to, że mamy zlikwidować konta na Facebooku. Przestać kupować gazety. Nie oglądać telewizji. Wręcz przeciwnie.

Wertujmy internet codziennie. Na Facebooku wymieniamy się poglądami z prawdziwymi znajomymi. Oglądamy zarówno TVN24, jaki i Polsat News i TVP Info. Mając świadomość, że hasło „cała prawda, cała doba”, to wyłącznie slogan reklamowy. Prawda zwykle leży pośrodku. I ten prawdziwy środek musi w dzisiejszych trudnych czasach umieć znaleźć samodzielnie każdy z nas.

Tego też życzę na święta wszystkim Czytelniczkom i

Czytelnikom.

Autorstwo: Wincenty Elsner

Zdjęcie: [pixel2013](#) (CC0)

Źródło: [Trybuna.info](#)